

Tekst polecony przez redakcję

Data edycji: 06.08.2012

Kaero

Pana pułkownika poznałem w latach sześćdziesiątych. Była to bardzo krótka znajomość, bo trwała zaledwie kilkanaście minut. Spotkaliśmy się na komisji wojskowej. To był mój czas. Studiowałem na Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Egzaminami zaliczałem w pierwszych terminach, więc polskie wojsko ludowe nie mogło po mnie sięgnąć. Tak wtedy myślałem.

Zaliczyłem trzy semestry – potrójna chwała moja. Czwartego nie było. Nie patrząc na moje naukowe aspiracje, wezwali. Z bilecikiem w ręku stanąłem nagi. Nie bałem się, żal mi było tylko ojca, który zostanie sam, a to przecież mnie przeznaczył na swoją podporę. W kilka dni po moich narodzinach, kiedy konałem na mrozie wśród polskich Kazachów przepowiedział mój los. Na zawsze z ojcem związany. Tam zimno było i ciemno, a tutaj słońce przez brudne szyby przebijało i promień światła głaskał mnie po nagim torsie. Stałem sam wśród nich. Pan doktor patrzył w dal i nie mówił nic. Nie zwracali na mnie uwagi, odpowiadała mi taka sytuacja. Zamknąłem oczy i szyłem. Ręka za ręką wodziła, tworzyłem garnitur dla wybitnych profesorów lwowskich, którzy przybyli na Śląsk. „Zdrowy! Na studia wróci, gdy przysłuży się Polsce Ludowej”. Oślepiające światło już nie głaskało, dosięgło moich oczu.

Z rękoma złożonymi na piersi stanąłem oko w oko z towarzyszem pułkownikiem. Spojrzałem na niego, lekko drgnęła mu brew. Ta sama brew co w koszarach przerażała podopiecznych, a na wojnie zwiastowała ludziom zły los. Drgnęła. „Nazwisko! Zawód! Miejsce urodzenia! Co tu robisz dupku?” Istna kanonada. Pokonany przez przytłaczające siły wroga odpowiedziałem, że w okolicach Uralu, gdzieś na Kazachstanie. Teraz brew nie zadrgała, wystrzeliła jednak armata z hukiem niewyraźnym. „Co? Po co? Dlaczego?”. Popatrzyłem na podłogę. „Mój ojciec – wybąkałem – z rodziną, został zesłany...” wstrzymałem się na moment. Spojrzałem w okno. Słońce znikło za jedną z chmur, mocny blask jednak wydostawał się zza chmury i rozświetlał nieboskłon. „Chciałem powiedzieć z Lwowa – poprawiłem się, patrząc dalej poza brudną szybę – wyjechał z rodziną, z własnej nie przymuszonej woli, w tamte rejony.” Spojrzałem na pułkownika, który spoglądał ponad moją głowę na nagiego orła. „Twój ojciec. Co on robi?” Odpowiedziałem, że ojciec mój krawiec, szyje. Ja mu pomagam, tak jak przepowiedział w kilka dni po moich narodzinach. „Douczasz się?” Douczam – potwierdziłem. Popatrzyliśmy sobie w oczy, zamknął oczy na kilka sekund. Kiedy spojrzął na mnie jeszcze raz, zdało mi się, że bił z nich inny blask. Spytał się o lata, a miał ich ojciec sześćdziesiąt sześć. Uśmiechnął się. To był uśmiech, który nas dopada w chwilach rozrzewnienia. Wspomnił, może, ten czas sprzed wielu lat, kiedy odwiedził Lwów, a pewien mistrz krawiectwa przyszył guzik do munduru młodego żołnierza. Mógł też spotkać brata ojca w ciasnym wagonie, zmierzającym do ciemnego lasu. Wróciło do niego wspomnienie o ręcznie wyszywanej okładce dziennika, należącego do towarzysza kaźni. Okładce zrobionej przez brata, krawca. „Rezerwa! Co tak stoisz, idź! Pozdrów ojca.” Odszedłem.

Nie pamiętam nazwiska towarzysza pułkownika. Nie wiem dlaczego mnie wtedy puścił. Wymagało to pewnej odwagi w tamtych czasach, a może to była po prostu kwestia smaku. Czemu teraz myślę o tych wydarzeniach z czasów małej apokalipsy? Minęły czterdzieści cztery lata. Patrę w lustro na moją starczą twarz, sześćdziesiąt sześć lat. Zamykam oczy, a ręce wciąż żyją. Ręka za ręką wodzi. Zdrętwiałe, pokłute one wciąż szyją. Spoglądam na siebie jeszcze raz, lekko unoszę brew.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

paniscus, dodano 18.05.2012 19:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.